



Leszek Podolecki, założyciel i prezes Fundacji „Instytut św. Br. Alberta” w Świnoujściu. Od 22 lat realizuje w zakładach karnych autorski program resocjalizacyjny ‘Arka’, polegający m.in. na zmianie systemu wartości poprzez przemianę moralno-duchową.

DWA FILARY

Jest Pan szczęśliwym człowiekiem?

Bóg mi tak pobłogosławił, że mam najukochańszą żonę na świecie i najcudowniejsze córki i syna. Ale 30 lat temu nie było tak wesoło. Co prawda miałem świetną pracę – pływałem na promach kolejowych ze Świnoujścia do Szwecji jako agent PKP – zarabiałem niesamowite pieniądze, ale rozwałała mi się rodzina, z mojej winy. Coraz mniej było różańca, coraz więcej tańca. Potem w moim życiu był już tylko taniec, a także alkohol. Będąc już w ciężkim kryzysie, poszedłem do kościoła. Gdybym wiedział, co się wtedy stanie, nikt by mnie nie zaciągnął do środka, ale na szczęście nie wiedziałem. Przyjechała tam ekipa ludzi świeckich z Krakowa. Przywieźli z sobą obraz Jezusa Miłosiernego. Po bokach miał doczepione cytaty z „Dzienniczka” Siostry Faustyny. Ja nie pamiętam, co oni mówili, ale mój wzrok był jakby przyklejony do tego obrazu przez całą Mszę św. Chyba się nie modliłem. Nie wiem, co się ze mną działo. Zaczęłem czytać te cytaty z „Dzienniczka” i byłem powalony. Przy wyjściu z kościoła kupiłem małą książeczkę „Jezu, ufam Tobie”. Tam przeczytałem: *Im większy grzesznik, tym ma większe prawo do miłosierdzia Mojego* (Dz. 723). Moje nogi zrobiły się miękkie. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie mogłem wsiąść do autobusu. Gdy jakoś w końcu dotarłem do domu, wydarzył się jeszcze drugi cud w tym dniu: moja żona poszła do spowiedzi. To wówczas nie było



u nas normalne. Potem zacząłem chodzić do kościoła regularnie. Przyszedł też czas na moją spowiedź. Nie chciałem jednak iść do spowiedzi w Świnoujściu, myślałem, że tam nie dostanę rozgrzeszenia, że ksiądz mnie wygoni. Słyszałem kiedyś, że najwięksi grzesznicy spowiadają się w Częstochowie. Z wielkim entuzjazmem więc wybrałem się w podróż do tego sanktuarium. Ksiądz, na którego tam trafiliem w konfesjonale, już na początku powiedział do mnie ostre słowa. To był cud, że ja wtedy nie wstałem z kolan i nie wyszedłem z kościoła. Gdybym to zrobił, to dziś byśmy tu nie rozmawiali. Wspowiadałem się, ale ta spowiedź była makabryczna dla mnie. Jednak nauczyła mnie posłuszeństwa Kościołowi. Potem jeździłem do Częstochowy prawie co miesiąc. Podczas jednego z takich wyjazdów poczułem wewnętrzne natchnienie, żeby się ofiarować w intencji bezdomnych. Wtedy nie widziałem w ogóle bezdomnych na ulicach. To były lata 80. Męczyłem się z tą myślą przez prawie 10 godzin. Miałem przecież wtedy takie *dolce vita*: kochana żona, kochane dziecko, atmosfera w domu cudowna, modliłem się, codziennie do kościoła chodziłem, to był raj na ziemi! A tu nagle myśl o tych bezdomnych, chorych, cierpiących... Męczyła mnie, aż w końcu nie wytrzymałem i powiedziałem takie swoje *fiat*. Powiedziałem i byłem wstrząśnięty. Dziś mija już 25 lat odkąd założyłem fundację „Instytut św. Brata Alberta”, wspierającą tych, którym nikt nie chce pomóc.

A więc miłosierdzie...

Jestem zachwycony Miłosierdziem! Ciekawe jest to, że te świeckie osoby, które wówczas przyjechały do kościoła z obrazem „Jezu, ufam Tobie” w ogóle nie wiedzą, jak się Pan Bóg nimi posłużył. Ja to widzę tak, że oni przyjechali do Świnoujścia tylko po to, żeby Jezus mógł nawrócić Leszka Podoleckiego. A to, co się zaczęło dziać później, to już ludzkie pojęcie przechodzi. Już w latach 80. przyjeżdżałem do Krakowa ze Świnoujścia regularnie. Kupowałem wówczas po 16 paczek „Dzienniczków”

i innych książek o Miłosierdziu. Nosilem je na raty na peron, by je potem jakimś cudem wpakować do pociągu i dojechać na Pomorze. Potem sprzedawałem je przy kościele. Chyba nikt o tych sprawach wówczas nie wiedział w Świnoujściu. Mnie Pan Bóg powołał po to, żebym orał. Cieszę się, że mogę orać. Kto sieje, kto podlewa, kto zbiera plony – mnie to nie obchodzi. Nauczyłem się tego, żeby nie interesować się tym, jakie moja praca przynosi plony – zostawiam to Panu Bogu.

A potem były lata 90?

Tak. Zaczęłem wówczas jeździć po różnych krajach i w wielu miejscach spotykałem obraz Jezusa Miłosiernego. Pamiętam, jaki szok przeżyłem widząc duży, dwumetrowy obraz w Nowym Jorku, w katedrze! Potem pojechaliliśmy na Florydę i widziałem ten obraz praktycznie w każdym kościele. U nas wtedy jeszcze tak nie było. W pewnym momencie sam zebrałem całą ekipę ludzi *zarażonych Bożym Miłosierdziem*, jeździliśmy razem i głosiliśmy je w wielu miejscach, rozprowadzaliśmy książki... Potem założyłem fundację „Instytut św. Br. Alberta”, ośrodki dla bezdomnych, które oparte są na dwóch filarach, jak i całe moje życie – na nabożeństwie do Miłosierdzia Bożego i nabożeństwie różańcowym. Stąd moja siła, by robić rzeczy odważne, nowatorskie. Rozpoczynałem moją fundację nie mając nic do dania ludziom. Nie czekałem, aż się biuro zapełni, bo mógłbym tak czekać do dzisiaj. Otworzyłem więc puste biuro i razem z potrzebującymi zaczęli przychodzić ci, którzy chcieli się czymś podzielić. Pomieszczenie zapełniło się bardzo szybko.

I pewnie takich cudów było więcej...

O, tak! Pamiętam, jak zobaczyłem, w jakich warunkach śpią bezdomni. Byłem tak wstrząśnięty, że gdy tego dnia wróciłem do domu i powiedziałem żonie, że ja dziś będę spał na podłodze. Po prostu nie mogłem się położyć w wygodnym łóżku... Następnego dnia siedziałem w moim gabinecie zdruzgotany, bo nie wiedziałem, jak

im pomóc. Byłem wówczas przewodniczącym Rady Miejskiej. Nagle przychodzi do mnie ktoś z naszych rejonowych władz i mówi: „Odra” chce przekazać hotel robotniczy. Może by Pan wziął dla tych swoich podopiecznych na schronisko? Myślałem, że to sen! Za tydzień miałem schronisko, 1,5 tony koksu, łóżka, pościel – wszystko miałem! Wprowadziłem swoich bezdomnych. To było pierwsze schronisko, które otworzyłem. Dzisiaj mam trzy. Nazywam je ośrodkami pomocy i terapii dla bezdomnych.

Tak więc Boże Miłosierdzie i duchowość Maryjna...

Skąd się wzięła ta moja miłość do Maryji? Ja miałem najukochańszą mamę na świecie, najukochańszą babcię. Łatwo mi było uczucie do nich odnieść do Maryji. Miałem też ojca... Nie miałem tatusia. Dziś fundamentem mojej pracy nad sobą jest właśnie ta relacja z ojcem i problem nieprzebaczenia.

Bardzo ważny problem współcześnie...

Tak. Podstawowy. Mniej więcej dwa lata temu miałem spotkanie z młodzieżą z Liceum i Gimnazjum. Na moje pytanie: kto z was ma ukochanego tatusia?, ręce do góry podnosiło 10-15% uczniów. Dla 80-90% młodych „tatusi” to jest słowo science-fiction. Gdy mam spotkania z młodymi przygotowującymi się do bierzmowania, to nawet dziewczynom z tzw. dobrych domów na słowo: *ojciec* robią się sine usta. I my potem się dziwimy, że do młodych nie trafia obraz Boga Ojca.

Unikanie, lęk...

Dziś jestem przekonany, że żaden grzech tak Boga Ojca nie rani, jak to, że my się Go boimy. Gdyby ktoś mi powiedział, że moje dzieci się mnie boją... Siostrzo, mnie by z żalu serce pękło!

Za rozmowę serdecznie dziękuję s. Gaudia Skass ZMBM